„GÓRKA"

MIESIĘCZNIK
młodzieży i dziatwy, przebywającej na Górce.

(Kolonja Lecznicza Dziecięca im. Dr. Med. Rektora J. Brudzińskiego, przy zdroju w Busku.)

4|5. Kwiecień—Maj 1931 r.

SEZON.

Mamy już wiosnę. Radosne majowe słonko zagląda do naszych widnych sal. Krajobraz nasz bogaty, niedawno jeszcze biały, później szary, dziś pięknie zielenieje. Wiosna.

Wczesnym już rankiem słychać gwar na werandach i wesołość. Coraz bardziej ożywia się wszystko, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Tuż obok werand kwitną już ogródki dziecięce, drobnemi rączkami uprawione. Z szarej ziemi wychodzą białe stokrotki, misternie ogrodzone białymi patyczkami działki, — oto obraz nasz. Wiosna już...

Za kilka dni zaczną przybywać pierwsze partje młodzieży i dzieci do naszej kolonji sezonowej. Zapełniają się szklane domy Górki, będzie jeszcze gwarniej i weselej. Od nich też spodziewamy się wiele, przedewszystkiem przywiozą nam wiele wspomnień z życia młodzieży w miastach i miasteczkach. Liczymy na to, że pomogą nam w naszej pracy nad uświadomieniem szerokich warstw młodzieży idei powszechnego leczenia dziecka chorego, liczymy na to, że tych kilkaset młodych ludzi, pochodzących niemal ze wszystkich ośrodków Rzeczypospolitej, obmyślą sposób jak młodzież młodzieży pomagać powinna. Zespolenie się nas, co stale przebywamy w uzdrowisku stałem (sanatorjum), z tymi co przyjadą, jest konieczne chociażby z tego względu, że dotychczasowy kontakt z tymi, co każdego niemal roku przyjeżdżają na kolonje, jest bardzo nikły. Tak mało listów dostajemy, a jednak wspominają tę Górkę mile — wiemy o tem. Nie przyszło Wam może na myśl, Drodzy, napisać słów kilka, może nie chciało się, a może też nie było takiego, ktoby Was do tego pobudził. Ten rok Waszego pobytu na Górce powinien być rokiem przełomowym, po którym przyjeżdżać Was tu będzie więcej, a nie mniej, jak się to dziś zapowiada. Wszak nędza wzrasta i temsamem odsetek chorych jest większy, więc musi młodzież znaleźć ratunek dla siebie. Jesteście szczęśliwsi od nas, gdyż chodzicie i obcujecie ze zdrowymi, możecie więc wiele dobrego zdziałać, tylko musicie chcieć.

Wierzymy w Was i w Wasze siły, tak samo jak wierzymy w szlachetność serc całej młodzieży polskiej i w jej dążenia do Dobra. Tym numerem naszego skromnego pisemka, Drodzy nasi goście, witamy Was, drukujemy Wam zbiorek naszych pieśni górczańskich, ułożonych niegdyś przez Was, temi właśnie piosenkami chcemy odnowić szereg dobrych, pogodnych wspomnień, niemi chcemy obudzić serca Wasze. I, w tym radosnym nastroju budzącej się wiosny, rozpoczniemy nowy okres życia Górki i Was samych, co przyjeżdżacie tutaj z domów i kurzów miast naszych.

Witamy Was okrzykiem, który niech cała Polska Młoda usłyszy: Zdrowia! Zdrowia!.... nietylko dla nas i dla Was, lecz dla wszystkich, którym jest ono potrzebne.

Witajcie i działajcie!

—o—

OD REDAKCJI.

Witając naszych „kolonistów" umieszczamy kilka piosenek, utworów wierszowanych i wspomnień, które wygrzebaliśmy ze starych pamiętników, by ożywić zapałem nowych naszych gości.

Chcemy wykazać, że mamy swoją tradycję i swoją historję.

Wiersze te, to zbiorowa twórczość naszych dawniejszych i dzisiejszych kolegów. Trudno dociec, kto był ich autorem, chociaż są też niektóre podpisane.

Wierzymy, że teraźniejszy sezon wzbogaci nasze archiwum i przyszłe numery „Górki" pokażą naszemu światkowi nasze nazwiska.

W czasie sezonu drukować będziemy również i stare wspomnienia.

Na pierwszem miejscu umieszczamy „Hymn Kolonji" śpiewany u nas na melodję I-ej Brygady, następnie piosenkę sali czerwonej; obydwa te utwory są zbiorowe.

W dalszym ciągu drukujemy pogodny wiersz „Górka" i „Pożegnanie" kol. Hejnowskiej.

—o—

Nasz hymn. Maj 1928 rok.

Kolonja nasza, ukochana, to miły kącik, cudny [świat,
A kiedy sezon nasz przemija,
Wracamy wszystkie do swych chat.
Lecz my, Kolonji dzieci, myśmy namiot III-ci
Pomimo różnych prób, powrócim do Kolonji znów.

My wszyscy nie traćmy nadziei
Kolonja będzie przez szereg lat,
A kiedy gmach nam zajaśnieje,
Nie zechcem wracać do swych chat.
My, Kolonji dzieci, myśmy namiot III-ci
Pomimo różnych prób, powrócim do Kolonji [znów.

—o—

Píosenka dzieci z sali „Czerwonej”

Raduje się serce, raduje się dusza
Gdy sała czerwona na werandę rusza.
Oj, da — oj, da — dana, sala ukochana.
Niemasz jak Czerwona, nie — masz — nie.

Jemy bardzo dużo i każdy z nas tyje,
Kto wejdzie na salę, krzyczymy: „niech żyje” !
Gdy lekarz naczelny z rana do nas przyjdzie,
W humorze najlepszym cały dzień Mu zejdzie.

Bo w Sali Czerwonej dzieci są morowe
Do zabaw i śpiewek zawsze są gotowe.
Oj, da — oj da, dana, sala ukochana
Niemasz to jak nasza — nie .....

—o—

„G ó r k a”.

Niedaleko za Kielcami,
Na rozległej hen . . . równinie
Siarczanemi kąpielami
W całej polsce Busko słynie

Czy kto stary, czy kto młody,
Jeśli tylko kości bolą,
Wie napewno, że te wody
Od choroby go wyzwolą.
Przyjeżdżają z każdej strony
Rachitycy i kulawi,
I wnet każdy uzdrowiony,
Dobre Busko błogosławi.

Lecz najmilsze tam schronisko
To na „Górce” jest dla dzieci,
Widać zewsząd — bo to blisko,
Jak pochodnia — dom ich świeci.

Tam od świtu przez dzień cały,
Doktór jak ten Anioł z nieba,
Dba, by dzieci wszystko miały
Co do zdrowia im potrzeba.
Piękny ogród, śliczne kwiatki,
Wszędzie ładnie, wszędzie miło,
U rodzonej nawet matki
Trudno żeby lepiej było.

Pełno śmiechu i radości,
Pełno dziatwy w młodym lesie,
Tak się bawią mali goście,
Aż to echo głośno niesie.....
A urwisy dokazują,
Robiąc śmieszne widowisko,
Zwłaszcza, jeśli malcy czują,
Że doktora niema blisko.

Wicuś szczypnął Fredzia w szyję,
Antoś drze się w niebogłosy,
Że go Ignaś mocno bije,
A sam Julka rwie za włosy.
Janek z Heńkiem, dwaj siłacze,
Przewrócili już Marcinka,
Śmieją się, że biedak płacze,
Niczem mazgaj i dziewczynka.

A wieczorem, co się dzieje,
Kiedy dziatwa kłaść się musi
Biedna p. Luka mdleje,
I od krzyku, aż się krztusi.

Staś Lopkowi sprawia chrzciny,
Leje wodę mu na głowę,
A Żdziś robi straszne miny,
I wymyśla figle nowe.
Józik, urwis znany w szkole,
Co się uczyć niechce wcale,
Cały się umazał w smole,
Bawiąc przytem doskonale.

Franio wszystkim mydło chowa,
Psotnik z niego—nie daj Boże.
Pannie Zosi pęka głowa,
Rady sobie dać nie może.

U dziewczynek w „Fioletowym”
Też wesoło czas upływa,
Są tam Stefcie, Manie, Lonie,
Którym figlów się zachciewa.
Więc Antosia wymyśliła
Dla zabawy maskaradę,
Papierowy hełm włożyła,
I przypięła z drzewa szpadę.

Gucia z Kazią wojnę toczy,
Żadna nie wie z czyjej winy,
Zapłakane mają oczy,
I żałosne bardzo miny.

Po pacierzu wielką ciszę,
Pani Doktór nakazuje,
I w dzienniku wnet zapisze
Taką, co to hałasuje . .
Lecz Irenka nic nie słucha,
Leżąc w łóżku „miauczy” sobie,
I udaje, że jest głucha.
„Oho” mówi, — „wiem co zrobię,
Kota złapię za ogonek,
I przestraszę jutro Burka,
To wesoły będzie dzionek
Śmieszna bardzo awanturka.”

Mała Stasia cyrk udaje,
I na łóżku kozły fika,
Lub na głowie zręcznie staje,
Potem skacze ze stolika.

Zaś Reginka wymyśliła
Śliczny taniec na bosaka,
I ręcznikiem się okryła,
Niczem baletnica jaka.
Helcia ciska pantoflami,
Z czego Janka się zaśmiewa;
Bijatyki poduszkami
Małej Józi się zachciewa,
A zaś inne stoją w rzędzie
Patrzą jak się dokazuje
I co z tego potem będzie
Kiedy Pani to zmiarkuje?......
Jak się wszystko zakończyło,
Gdy się Pani dowiedziała
O tem mówić mi nie miło,
Bowiem każda w kącie stała.
Tylko Andzia i Karolcia,
najgrzeczniejsze dwie dziewczynki,
Żadnej kary nie dostały,
więc wesołe mają minki.
A gdy nad światem noc się rozpościeli
Zalegnie wielka cisza ukojenia,
Natenczas z nieba zstępują Anieli
Aby dać piękne senne marzenia

20 IV 1929 rok.

Blanka Hejnowska

o

Pożegnanie.

Już się zbliża dzień rozstania
Już do domu wracać czas
Smutna chwila pożegnania
Szkoda żegnać będzie Was
Każda wraca wypoczęta.
I z zapasem nowych sił,
Z sercem wdzięcznem, uśmiechnięta,
Ach! bo dobry czas tu był.
Wszystko tutaj żyło wonią
Polskich lasów, polskich łąk,
Pan Bóg rzucił hojną dłonią,
Tyle piękna nam do rąk.
A więc żegnaj, Górko droga,
Lasku miły, bywaj zdrów,
A ja za rok, z łaską Boga
Witać Ciebie będę znów.

Wycieczka do Pucka.

W tym miejscu słów kilka poświęcamy, wzorowo prowadzonej, naszej Kolonji morskiej w Hallerowie.

W artykuliku tym, pisanym w lipcu 1929 r., mamy żywo opisaną podróż do Pucka żaglówką, przez kolegę naszego, Sobczaka.

Sobota 13-VII-1929 r.

W dniu tym odbyliśmy podróż żaglówką do Pucka. Dzień wstał pogodny; na szafirowem niebie ani jednej chmurki, choć w kierunku wschodnim dął silny wiatr. Rano po śniadaniu, ustawiwszy się w szereg i przywdziawszy cieplejsze ubrania, ruszyliśmy w stronę Wielkiej Wsi, która była miejscem naszego wyjazdu żeglówką. Wsiedliśmy do przeznaczonej nam łodzi i wyjechaliśmy na zatokę, coraz szybciej oddalając się od brzegu. Łódź swym dziobem prula zielonawe fale zatoki, zaś dziatwa kolonji naszej śpiewała różne pieśni i zachwycała się widokiem naszego Bałtyku. Ja, niby „kapitan okrętu", siedziałem na dziobie łodzi i wpatrywałem się w odmęty morza. Tymczasem minęliśmy wioskę Swarzewo i zbliżaliśmy się do celu naszej podróży — miasta Pucka, którego kontury zarysowały się na tle błękitnego nieba. Gdyśmy przybijali do przystani miasteczka, spostrzegliśmy dwa hydroplany, które, po krótkiem szybowaniu nad Puckiem, wodowały na zatoce. Dobiwszy do portu, wysiedliśmy na brzeg, a ponieważ było dość czasu, więc postanowiliśmy zwiedzić Puck. Pierwsze swe kroki skierowaliśmy do kościoła, który nas zachwycał swą piękną architekturą i rzeźbą. Po zwiedzeniu kościoła udaliśmy się do ogrodu, gdzie spożyliśmy drugie śniadanie. Następnie zwiedziliśmy rynek, niektóre ulice, chłopcy nasi kupowali sobie na pamiątkę pobytu w Pucku różne przedmioty bursztynowe. Po zwiedzeniu miasteczka udaliśmy się znów do portu, aby oczekiwać żaglówki, mającej nas zabrać do domu. Jakoteż wkrótce przybyła i nią wracaliśmy do Wielkiej Wsi. Podróż powrotna z Pucka do Wielkiej Wsi była o wiele gorsza od poprzedniej; ponieważ wiatr się wzmógł, więc fale na zatoce stały się większe, a łódź stale przechylona była na prawą stronę, skutkiem tego chłopcy bardzo się nastraszyli.

Nadomiar złego, dość duże fale biły o łódź i rozpryskując się, siekły niemiłosiernie kroplami znajdujących się na łodzi. Twarze wszystkich były przestraszone i zrezygnowane. Oczekiwaliśmy z utęsknieniem końca podróży. Wkrótce łódź przybiła do brzegu. Wysiedliśmy i wróciliśmy do domu, do Hallerowa. Po smacznem obiedzie pokładliśmy się spać,

aby wypocząć po wycieczce, z której, pomimo przykrego powrotu, byliśmy bardzo zadowoleni. Tak minął nam dzień.

M. Sobczak.

—————)x(—————

Nasza ferma.
(Utopja).

Kilkaset morgów ziemi uprawnej, ogród i zabudowania ,ot, mały folwarczek, nic więcej, a w swej całości tworzy świat.

Poza miastem, zdala od kurzu i ruchu, żyją i pracują. Są to ludzie, którzy tak niedawno jeszcze, bo kilkanaście lat wstecz, byli uważani za niezdolnych do żadnej pracy i czynu. Ludzie, których większa część społeczeństwa uważała za wyeliminowanych poza nawias życia, dlatego tylko, że uporczywa choroba, gruźlica kości, wymagała długotrwałego leczenia.

Lecz człowiekowi nie łatwo przychodzi zrezygnować z życia, tembardziej, gdy setki młodych ludzi znajduje się w podobnej sytuacji. Mimo wszystkiego, są oni silni i chcą żyć, wbrew lekkomyślnemu wyrokowi, jaki na nich wydano, zdobyli się na czyn bohaterski. Sprawa poszła innemi torami.

Poza miastem, widnieją jeszcze i schludne zabudowania — to ferma gruźlików. Dzisiaj żyją oni w normalnych warunkach, pracują, tworzą — są niezależni. Ten mały kawałek ziemi przyczynił się do stworzenia normalnego życia. Tu, w spokoju i z własnej pracy, mogą się utrzymywać i iść dalej.. Dzisiaj — to mała rzeczpospolita od nikogo niezależna.

Na wstępie rozłożył się długi budynek, gdzie mieszczą się warsztaty. Tam gruźlicy pracują w różnych zawodach, odpowiednio do ich zdolności i przydatności. Ci, którzy mogą już chodzić, spełniają prace cięższe—leżący-lżejsze i prymitywniejsze. W czystych łóżkach leżą chorzy pracownicy, z przystosowanemi do swoich pozycji warsztatami. Leżący wyrabiają artystyczne zabawki, lalki, szczotki — haftują,... Siedzący przy specjalnych pulpitach mają umieszczone maszyny do szycia, bądź do pisania. Ci wykonywują prace więcej skomplikowane. Ozdrowieńcy prowadzą gospodarstwo, sklep spółdzielczy, spełniają prace pielęgniarskie, nauczycielskie, administracyjne i inne. Oni to starają się o rynki zbytu, są dostawcami i kierownikami fermy. Wczesnym rankiem rozpoczyna się tu życie i trwa do wieczora. W dni pogodne chorzy bywają windowani na płaskie dachy budynków, gdzie mieszczą się werandy. W specjalnych czepkach, zabezpieczeni są od porażenia i pracują spokojnie. Nikt się tu nie troszczy o jutro, nie lęka o dach nad głową, bo wie, że sam pracuje na swe utrzymanie, jest niezależny od żadnej instytucji filantropijnej, nie jest dla nikogo ciężarem. Chore dzieci jadą w swych łóżeczkach na lekcje, gdzie im wykładają nauczyciele rekonwalencenci i ozdrowieńcy. Rozumieją się tutaj wszyscy doskonale i szanują.

Werenda na dachu, nad brzegiem, lśni barwami różnorodnych kwiatów, rosnących w paczkach, z boku są małe drzwiczki. Gdy lekcja kończy się, winda, wybudowana przy ścianie systemem blokowym, podjeżdża do góry. Pielęgniarki wsuwają łóżeczka do klatki i zjeżdżają do ogrodu. Ogród podzielony jest na polanki, każda sala ma swoją. W alejach biegają dzieci chodzące i jeżdżą wózki urządzone w kształcie foteli, które, gdy oparcie opuści się, tworzą łóżeczka. Przy wózku znajduje się przyrząd podobny z konstrukcji do kierownic przy dziecięcych rowerach. Dziecko chore na kolano lub stopę, siedzi w takim wózku, porusza kierownicą i jedzie, zastępując sobie tem spacer. Drzewa, kwiaty w ogrodzie, pielęgnowane są także przez byłych chorych. Kwiaty ścinane, co rano powiązane przez leżących w artystyczne bukiety, odstawiane są do miasta.

W głównym budynku, na górze, znajdują się sale dla chorych, leżących członków fermy, tam też są sale: opatrunkowa, gipsownia, Roentgen.

Na drugim piętrze przeważnie mieszkania lekarzy, pielęgniarek, nauczycieli. Na parterze jest czytelnia, sala dla zabaw dziecięcych, sala z estradą do przedstawień.

Z lewej strony głównego gmachu, ciągnie się sznur szklanych domków, poprzedzialanych ogródkami. W domkach tych mieszka reszta członków — pracowników i obywateli fermy.

Po prawej stronie długi budynek — to warsztaty; magazyn krawiecki daje o sobie znać nieustannym turkotem maszyn; konfekcja wszelkiego rodzaju, suknie damskie, wykonane z precyzyjną dokładnością i smakiem, już oddawna zdobyły sobie sławę, a tem samem i pokup.

Obok znajduje się pracownia modystki, maleńka, ponieważ pracownicami jej są przeważnie kobiety chore leżące, kapelusze więc upina się na sali, werandzie, w ogrodzie. Dalej warsztat koszykarski i introligatornia.

W drugim budynku znajduje się spółdzielnia mleczarsko-jajczarska i sklep. Spółdzielnia ta jest podwaliną w życiu fermerów, produkty spożywcze są niezbędne i mają zbyt.

Lecz chlubą fermerów jest fabryka win owocowych, fabryka lalek i suszarnia owoców. Z najnow-

szemi urządzeniami, postawione na szeroką skalę — najwięcej zysku przynoszą fermie.

Fabryki te stoją zupełnie na uboczu, w pobliżu nich są jeszcze takie zabudówania, jak obora, chlewy, stajnia, stodoła.

W fabrykach i na roli zajęci są ci, którzy nie posiadają wykształcenia, lecz nie brak i takich, którzy mają je, a z zamiłowaniem oddają się pracy w tych dziedzinach. Wszyscy dbają o dobro fermy, ponieważ rozumieją jaką rolę odgrywa ona w ich życiu.

Wielu członków przebywszy na niej kilka lat, wyleczeni już zupełnie, ze zdobytem zawodem, gdy chcą — idą w świat, aby tam pracować.

Lecz fermie nie grozi wyludnienie, ponieważ dokąd będzie istniała — na ziemi będą chorzy, potrzebujący jej.

———o———

W i o s n a.

I znów wiosenka przyszła
Z uśmiechem w królewskiej twarzy,
Cudnemi barwy rozbłysła,
I znów nas piosenką darzy.
Rozsiała kwiaty wokoło
I umaiła gaje,
Z uśmiechem dźwięcznym wesoło,
Wybiegła na dróg rozstaje.
Lekkim powiewem skrzydeł,
Otarła łzy sierocie,
Z piosenką pięknych mamideł
Urocza w swej prostocie.
O, gdybyś wiosno złota
Nie biegła od nas wdal
Więcejby serca ludzkie
Omijał gorzki żal.
O, gdybyś wiosno hoża
Została z nami — hej
Więcejby było szczęścia,
A mniejby doli złej!..

Ira Adamska.

I z n ó w.

Ziemia się dzisiaj okryła zielenią
Wczoraj zakwitła — dziś już owoc zbiera,
bo wszędzie, gdzie jest wilgoci kruszyna
roślina w zieleń stroić się zaczyna.
Przylaszczka wszystkie kwiaty wyprzedziła,
przebiła śniegi, wszystkich zadziwiła.
Ziemia się chlubi z kwiatuszka pierwszego
Radośnie śniegi topi obok niego.
Tu znów zawilce bielą się zdaleka
Takby pragnęły zadziwić człowieka,
że one także nie boją się chłodu,
przywykły znosić cierpienia zamłodu.
A obok fiołki główki opuściły,
bo myślą nad tem, że się opóźniły
przecież bez zwłoki łoże opuściły
gdy słońce grzało, na ziemię przybyły.
Dalej już wszystkie kwiaty idą śmiało,
społem, jak słońce rosnąć przykazało,
już się nie boją że zmarzną na ziemi,
bo ciepło, jasno, od słońca promieni.

Wiktor Skandynawjan.

)x(

Jak pływało się na Górce.

(Smętna opowieść o zdarzeniu prawdziwem,

Franek pociągnął Stacha za rękaw: „No, już. Zabieraj Walka, panna Zosia weszła do pawilonu.”

Skradając się za węgłem, cicho przebiegli krótką przestrzeń do lasku, rozejrzeli się bacznie czy ich kto nie obserwuje i z pod krzaka wydobyli schowane tam poprzednio stare drzwi. —

Walek zapiszczał z uciechy: „To ci tratwa fajna, Rany Julek.” Stach trochę melancholijnie pokiwał głową. „Ej Franek, czy się aby nie wyda? Pan Doktór mówił, że jeśli kto pójdzie na staw bez pielęgniarki, to go z Górki wywali.”

Iiiii, co się ma wydać, przecież ani ja, ani ty, ani Walek nie zasypie się. Teraz dwie godziny leżenia, będą myśleli, że my przed Czerwonym, albo Fiołkowym leżymy.”

Nagle w krzakach rozległ się podejrzany szmer. Chłopcy stanęli bez ruchu, z przerażeniem patrząc...

Z krzaków wypełzł umorusany Felek, mały berbeć z Fiołkowego.

„Czego tu chcesz?” ryknął Walek. „Ganiaj do pawilonu, nie wiesz, że teraz leżenie?” —

Stach, dla dodania powagi słowom Walka, uderzył Felka w bok.

Felek ryknął w niebogłosy: „Te, nie bij się. Ja już wiem, że wy idziecie na staw pływać. Zaraz idę powiedzieć pannie Zosi.”

„Skarżypyta, fagas, smarkacz — tylko słowo piśnij, już ja ci dam.”

„To czego się bijesz, Uuuu... Powiem i już.”

Sytuacja stawała się groźną; trzech awanturników spojrzało na siebie bezradnie. Co robić? Zbić go — to narobi wrzasku, że cała kolonja zleci się. Puścić — to wygada i będzie heca straszliwa. Wrócić? - Nie, to niema mowy, takiej znakomitej okazji, od szeregu dni przygotowywanej, nie można marnować. —

Stach szepnął coś do ucha Frankowi, ten kiwnął przytakująco głową. —

„Te, Feluś, słuchaj: pójdziesz z nami na tratwę, pływać po stawie, ale - rany Julek, trzymaj się, jakbyś słówko powie-

dział komu, to już my cię ..."

Tu Stach potrząsnął groźnie pięścią.

Felkowi zaiskrzyły się radośnie oczy, obtarł rękawem łzy i gorąco przyrzekł zachować tajemnicę. —

— Po chwili ciężkie drzwi, wspólnym wysiłkiem czterech malców, bo i mały Feluś starał się pomagać jak mógł, zostały zsunięte na wodę. —

Walek skoczył w krzaki, przyniósł dwa kije, mające imitować wiosła i nasza czwórka wgramoliła się na zaimprowizowaną tratwę. — Odepchnęli się kijem od brzegu i po chwili płynęli już. Drzwi kołysały się na wszystkie strony, nabierało się wody, jednak jako-tako utrzymywały się na powierzchni wody.

Franek rozsiadł się na środku tratwy, oddał kije Walkowi i komenderował: „Baczność! Uwaga. Ster prosto. Kierunek wysepka. Pchaj mocno."

Stach spojrzał bokiem na niego, „A właśnie nie na wysepkę, tylko tak, dookoła."

„Wal na wysepkę, ja tu kapitan."

„Tyyyy. . . .? A kto znalazł drzwi? Kto je tu ciągnął?"

„A kto dał cały pomysł? Ja, czy nie ja?"

„To nic, ale ja to wszystko zrobiłem. „Żeby nie ja, tobyś leżał teraz w pawilonie razem z temi smarkaczami."

„Tak, takiś mądry — to wiosłuj sam. Niechaj Pan Kapitan wiosłuje."

Stach rzucił wiosło tak nieoględnie, że wpadło do wody, a tratwa zakołysała się mocno.

Franek ryknął: „Coś zrobił, pokrako, statek może zatonąć." Podsunął się do Stacha i chwycił go za włosy. Stach go odepchnął. Tratwa przechyliła się prawie pod ostrym kątem. Felek pierwszy stracił równowagę, przez chwilę kurczowo starał się trzymać desek, lecz z głośnym pluskiem padł do wody. Równocześnie stoczyli się pozostali argonauci. —

* * *

Rozkołysana tratwa, pusta, płynęła po stawie w jednym kierunku, kije - wiosła w drugą — Cztery łebki, ociekające wodą, rozpaczliwie miotają się, migotają małe ręce bijące w wodę

Woda zalewa oczy, a nogi z trudem wydostają się z lepkiego i gęstego iłu. — Całe szczęście, że największa głębokość stawu nie sięga nawet ramion małych żeglarzy. —

W chwilę potem młodzi awanturnicy z trudem wyczołgali się na brzeg, każdy z innej strony. —

Rozejrzeli się niespokojnie i nerwowo i wpadli pędem w gęste zarośla.

„O Jezu, a to ci stracha miałem" — wykrztusił zasapany i ociekający wodę Walek.

„A to ci kąpiel dopiero. Czy tylko kto nie widział?"

„Dobrze, ale gdzie ten berbeć Felek?" zawołał Walek. — Wyjrzeli zaniepokojeni z krzaków, rozglądając się dokoła. —

„O Jezu, niema go"

„Nie wychodził z wody wcale."

„Krzyknął tylko, jak tratwa tonęła."

„Utonął" — wrzasnął Walek i pędem pobiegł w stronę pawilonów. Za nim z płaczem pobiegli Franek i Stach.

Za chwilę ze wszystkich stron Górki biegły pielęgniarki, lekarze, a nawet głuchy Żurek biegł pędem z pobliskiej łąki dowiedzieć się, co to za awantura zdarzyła się. — Zjawił się też z zatroskaną i zagniewaną miną pan Kierownik, przeprowadzając doraźne śledztwo i wypytując o szczegóły wypadku. Trzej przestępcy, z przerażonemi minami, dygocząc z wrażenia i płacząc, jeden przez drugiego opowiadali jękliwie o przebiegu całej eskapady. —

Przybiegli też sprowadzeni robotnicy i, na polecenie Kierownika, weszli do wody w ubraniu, brodząc i szukając topielca. Franek, chlipiąc żałośnie, wskazywał miejsce gdzie utonął Felek. —

Tłum gapiów wzrastał z minuty na minutę. Na wszystkich twarzach maluje się głęboka troska. Oczy wszystkich wlepione są w czterech robotników, którzy, po pas w wodzie, chodzą tam i z powrotem. Topielca jednak nie sposób znaleść. —

Niepokój wzrasta. Każda chwila jest drogą, bo gdy jeszcze w tej chwili Felka dostaną, ratunek możliwy. Doktorzy naradzają się nad najlepszemi sposobami ratowania, posyłają po spirytus, eter, flanelę.

Poszukiwania nie dają jednak rezultatu. A może wpadł w jaki dół? A może ugrzązł w ile? — Mimowoli nasuwa się szereg pytań i przypuszczeń, mniej czy więcej rozsądnych. —

Kierownik jeszcze raz wypytuje Franka i Walka o szczegóły, nic nowego nie dowiadując się jednak od chłopców, tak przerażonych, że słów ich nawet zrozumieć nie można. —

Widząc beznadziejność poszukiwań Kierownik krzyknął: „Dawać w tej chwili pompę motorową naszej straży. Będziemy wypompowywać staw".

Kilka osób pobiegło pędem do remizy. —

Kierownik zatroskany rozmawiał z lekarzami, nerwowo targając zwichrzone włosy. Nagle uderzył się ręką w czoło i zawołał: „wszystkie pielęgniarki i chłopcy starsi — proszę natychmiast przeszukać lasek i ogród, pytać się innych dzieci, — może Felek wyszedł inną stroną i ze strachu schował się". — Przyniesiono pompę, zaczęto puszczać motor. Nerwowy terkot motorówki rozlegał się szerokim echem, budząc jeszcze większą sensację. Prądownica wyrzucała strumienie wody na poblizkie łąki.

— Wtem rozległ się radosny okrzyk: „Jest, jest. Nie utopił się„.

Z poblizkich krzaków wybiegła p. Zosia, prowadząc za rękę Felka, oblepionego iłem i gliną, z niewożliwie umorusaną twarzą.—

Felek, zachłystując się łzami z krzykiem powtarzał A bo ja . . . A bo ja . . ., A bo ja się bałem . . . Bo oni mówili, że Pan Doktór wyśle z Górki . . . A ja nie chcę jechać, ja nie chcę, ja nie chce . . . Bo oni się pobili. Bo ja pierwszy wpadłem do wody, bo Walek mnie kopnął . . . Bo . . ." —zanosił się mały Feluś w nieutulonym płaczu —

* * *

Wieczorem odbyła się konferencja samorządu chłopców starszych, na której jednomyślnie postanowiono, że starsi chłopcy będą pełnić dyżury przy stawie, pilnując aby nikt nie bawił się tam bez opieki pielęgniarek. —

Skruszeni winowajcy stali skromnie na boku, dziękując Bogu, że tak wszystko szczęśliwie skończyło się, że Pan Doktór tym razem przebaczył im i że z Górki nie wyjadą. Przyrzekali też sobie solennie i gorąco, że już takich kawałów urządzać nie będą i nie przysporzą zmartwienia i kłopotu tym którzy kochają ich i dla ich dobra ciężko pracują. —

KRONIKA.

Wrażenia ze świąt.

Alleluja — zaszemrały z budzącym się świtem przyziemne trawki.

Alleluja — zadzwonił w błękicie skowronek. Alleluja — szepnął wietrzyk figlarny, potrącając gałązkami drzew. Alleluja — rozśpiewał się świat cały pieśnią radosną, roze-

śmiał promykami słońca. Złote promyki wpadły przez duże okna do sal chorych dzieci.

I tu pieśń zabrzmiała
Z serduszek gorących
Chwała Panu... chwała.

Święta tegoroczne w miłym nastroju przepędzone zostały przez nas. Pogoda, która dopisywała im, wpłynęła także na nasze humory. Było święcone, malowane pisanki i tradycyjne babki — wszystko jak staropolski zwyczaj nakazuje. Nie odczuliśmy tego, że tam, gdzieś, są poopuszczani nasi rodzice, bracia, siostry — chociaż w takich wypadkach najwięcej wspomnień ciśnie się do głowy. (Nie mogę powiedzieć, że wspomnień zupełnie nie było — były, ale na wesoło)

W drugi dzień świąt nie obeszło się bez wody. Przecież śmigus. No i u dziewczynek przeszedł jako tako, ale za to chłopcy od samego rana biegali z wodą.

o

Wizyta okulisty.

W pierwszych dniach kwietnia wizytował u nas p. Dr. Żurkowski okulista. Okazało się, że kilkoro uczącej się młodzieży i dzieci ma bardzo osłabione oczy wskutek długotrwałego leżenia. Ażeby zapobiec dalszemu złu, poprzepisywał p. Dr. okulary, a oprócz tego dał racjonalne wskazówki co do ustawiania łóżek dla dobrego oświetlenia. Wyłoniła się także nowa kwestja, a mianowicie kwestja pulpitów. Wobec tego Dyrekcja Kolonji obstalowała jako wzór jeden pulpit, przeznaczony specjalnie dla leżących. Pulpity tego rodzaju są używane w szkole sanatoryjnej w Klotchen pod Dreznem gdzie uczą się dzieci leżące. Ciekawi jesteśmy, jakie zastosowanie będzie miał wzór ten u nas.

o

TRZECI MAJ

Trzeci Maj. Pamiątka droga sercu każdego Polaka. Rokrocznie obchodzony jako doniosły fakt naszych dziejów i rok-rocznie składamy cześć tym, którzy zerwali się pierwsi do jej naprawienia. My, chociaż bardzo skromnie, lecz z całym zapałem serc naszych, uczciliśmy ten dzień. Rano odbył się u nas poranek. Na całość jego składał się referat, o znaczeniu konstytytucji Trzeciego Maja, który wygłosił p. Kierownik szkoły, Chór szkolny odśpiewał parę piosenek. Następnie Cesia Celińska powiedziała wierszyk, chociaż w łóżeczku, ale bardzo ładnie. Poranek zakończony został mazurkiem Dąbrowskiego.

o

Werendowanie i sypianie na wolnem powietrzu.

Od dłuższego już czasu wiosna wywabiła nas z sal na werandy, na których przebywamy całemi dniami, a nawet więcej odważni sypiają na nich. Jaknajwięcej korzystać ze świeżego powietrza zalecają nam kochani lekarze, a my też z przyjemnością stosujemy się do ich zleceń.

NEKROLOGI.

W pierwszych dniach maja, kiedy wszystko budzi się do nowego życia, a ziemia przyobleka nowe szaty, zmarła w Krakowie droga nam wszystkim koleżanka ś. p. Marysieńka Adamczykówna. Śmierć niespodzianie przecięła Jej wiośniane dni.

Marysieńka przez kilka miesięcy przebywała z nami w uzdrowisku, dzieliła wspólną dolę, a swem dobrem serduszkiem i cichą duszyczką zdobyła wszystkich sympatję.

Wiadomość o tak niespodziewanym i przedwczesnem skonie kochanej naszej koleżanki, wywarła na nas wrażenie przygnębiające i bardzo głęboki żal.

Żegnaj nam Marysieńko kochana...

Straciłyśmy w Tobie prawdziwie dobrą koleżankę. Żegnaj nam i śpij w spokoju. Ślemy dziś za Tobą cichą modlitwę i łzy żalu.

W tychże dniach zmarła w Wapnie była pacjentka naszego uzdrowiska ś. p. Jasia Kunzówna.

Jasieńka tak krótko cieszyła się życiem i zdrowiem. W dwunastym roku życia Bóg powołał Jej jasną duszyczkę do siebie. Śmierć Jasieńki zbudziła u wszystkich szczery żal.

Cześć Ich pamięci

Koleżanki i koledzy.

Za komitet redakcyjny dziecięcy **K. Błaszkiewiczówna.** Redaktor odpowiedzialny: **W. Dobrowolski**
Wydano przez Kolonję Leczniczą Dziecięcą im. Dr. Med. Rektora Józefa Brudzińskiego przy Zdroju w Busku.

Prenumerata roczna zł. 6.— półrocznie zł. 3.— numer pojedyńczy 50 groszy.

Zakłady Drukarsko-Introligatorskie St. Łuszcza, w Busku-Zdroju tel. 42.